Tom XI. Nr. 17.

11. grudnia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dobry ojciec.

Bliziutko od Kańczugi stoi wieś Siedleczka. Ledwo zaczniesz pacierz na wychodzie z Kańczugi, a gdy kończysz „Wierzę w Boga“ jesteś we wsi Siedleczce.

Otóż razu jednego, a było to w niedzielę po nieszporach, wziąłem kij do ręki i idąc zaszedłem do tej wioski. Wieś to dobra, ludziska nie źli i byłoby tam błogosławieństwo boże, gdyby jeno gazdowie robili, jak Bóg przykazuje.

Osobliwie jest tam jeden gazda Szymon Sowa. Zabudowanie ma dobre, ogród, płoty i koło roli zrobione, jak się patrzy. A sam lubi bardzo zejść się z ludźmi piśmiennymi i gadać o mądrych rzeczach — bo co prawda, to gadać ni to, ni owo albo jakie bluźnierstwa i bzdury, to pono grzech wielki i na gazdę i na ojca nie przynależy bardzo. Otóż poznał się ten Sowa ze mną i bardzo się lubimy. Poszedłem też prosto do niego, pochwaliłem po polsku Pana Jezusa, on wystawił ławeczkę i tak siedliśmy i nuż gadać o świecie bożym, a broń Boże! obmawiać kogo albo co zmyślać.

Miał ci ten Sowa chłopaczka Stasia; dorodne było to dziecko, jak mak kwitnący w ogrodzie, a milutkie jak na wiosnę fiołek, gdy go urwiesz i wąchasz. Umyte, uczesane, ogarnione i ustrojone po chłopsku, jak cacko pomalowane i wystrugane.

Ojciec go zawołał do siebie i mówił mi:

— Spytajcie go też panie profesorze! czego on się chce uczyć i miarkujcieno dobrze, co ten drobny bobek gada, co to w jego główce siedzi?

Ja pogłaskałem Stasia, dałem mu obrazek patrona polskiego i pytam go:

— A co ty Stasio! umiesz już czytać druk i na katechizmie?

A on mi pali do razu jak po mydle:

— Ja to umię wszystko jak na pytlu i pójdę tam do pana profesora do Kańczugi do szkoły, abym czytał na każdej książce i pisał sobie tak:

Najświętsza Panno kieruj moją rękę,
Bym mógł opisać syna Twego mękę!

Ojciec rozpłakał się na to i mówił mu:

— No! to pójdziesz do Kańczugi, a jak się tam wyuczysz na książkach, to cóż potem zrobisz?

A Staś mu prawi śmiało:

— To mię dacie do Rzeszowa albo do Przemyśla a tam zostanę xiędzem albo panem jakim.

A ja mu powiadam:

— A kiedy tatusia twego nie stać na tyle, aby cię dał do szkoły tak daleko, to kosztuje wielkie pieniądze.

— No! to nic nie znaczy, to mi Pan Bóg dopomoże i dobrzy ludzie do nauki.

Ja pogłaskałem Stasia za takie gadanie i mówię do ojca:

— Trza dać do szkoły Stasia, mój Szymonie bo to szkoda wielka zmarnować swoje dziecko, za to najbardziej sądzi Bóg ojców!

Duszyczka w dziecku to waży więcej, niż cały świat, ona ma skrzydełka jak aniołek i leci na nich do nieba, a kościół i szkoła dobra pomagają jej lecieć do samego Boga.

Kto gardzi kościołem i szkołą, ten musi zalecieć do piekła. Nigdy Bóg nie odpuści ojcom, gdy marnują dzieci! Rozum i nauka to wiano, jakiego nikt nie daje na ziemi, jeno łaska boska, kościół i szkoła. Otóż i wy Szymonie nie marnujcie waszego Stasia, bobyście razem z nim zagubili i waszą duszę.

A Sowa słuchając tego powiada:

— Ta choćby proszę was panie profesorze i nie był xiędzem i panem, to mądry i pobożny chłop potrzebny i na wsi. Mnie się widzi, że jak po wsiach rządzą panowie piśmienni, tak po wsiach gazdują chłopi — miasto i wieś to pono jedno, jeno miasto murowane a wieś drewniana, ale ludzie jednacy; tak samo Polacy i katolicy w miastach jak na wsi. A gdzie ludziska nie mają poznania, tam idzie wszystko na opak, jak się wyuczyli za młodu, takimi są i na starość; bo to powiadają: „Jaki przód, taki zad, jaki chód taki zachód." I na wsi przyda się bardzo każdemu znać dobre i złe, znać prawdę i cygana, znać jakto robili dziadkowie a jak robią wnuki, i które jest lepsze czy gorsze? czy mamy robić jak bywało, czy słuchać tych, co na dobre z Bogiem ciągną. Bo to widzicie panie profesorze mnie się tak widzi i to pono święta prawda, że jak nas nie uczyli ojcowie po szkołach, tak my też mało co rozumiemy, a jak znowu i nasze dzieci nie pójdą do szkoły, to będą z nich opłakane głuptaki.

Na to gadanie Sowy nie miałem co dumać, bo Sowa to chłop nie lada jaki, a ojciec dla dzieci jakiego szukać siedm mil za Krakowem.

Jeno powiedziałem mu tyle:

— Nie koniecznie ma być Staś wasz xiędzem, choć to najładniej służyć przy ołtarzu Boga i uczyć w kościele i na plebanii cnoty swoich parafian, ale na świecie tyle szkół na różne rzeczy, żebyście za sto lat nie po kończyli tego i pono trudno znaleść takiego, aby wszystko dobrze umiał. Otóż bardzo dobrze by było, by każdy umiał swoje rzeczy dobrze, ja swoje wy swoje, xięża swoje, urzędnicy swoje — a wszyscy abyśmy byli pobożnymi i uczciwymi Polakami i katolikami, kochali jednako Boga i żyli jak dzieci jednego Ojca w zgodzie i miłości. Otóż dajcie waszego Stasia do Kańczugi do

*

szkoły, dopomóżcie co możecie, a resztę zrobi Bóg i dobrzy ludzie.

I dał Sowa swego Stasia do Kańczugi, potem do Rzeszowa do szkoły, a dziś jego duszyczka nabrała nauki, rozumu, poznania aż miło patrzyć na chłopaka, a ojciec się cieszy, bo ma i czem!

Staś mu odpłaci wydatki na starość, może mu dokupi grunt nowy, wyfunduje chałupę jak dwór jaki, a stary Sowa pożywi się pytlowanym chlebem kiedyś u syna, a Bóg zapłaci to jego duszy na sądzie.

I wy tak róbcie wszyscy gazdowie!

Karol Marciak, nauczyciel z Kańczugi.

Grób ułana.

Świeci miesiąc blado, jak w chacie łuczywo,
Po gwiaździstem niebie sunie się leniwo,
Tak wygląda smutnie, jakby w wielkim żalu,
Nad nim chmurka krwawa, jak gdyby z koralu....

Po rosie, po lesie,
Wietrzyk jęki niesie,
Listek z drzewa pada,
Coś żałośnie gada...

Na polu szerokiem mogiła kopana,
Pod mogiłą klęczy panna zapłakana,
Klęczy sama jedna między kwiatuszkami,
Rączki załomała, zalewa się łzami...

— Dzieweczko, dzieweczko, czemu łamiesz ręce,
I płaczesz żałośnie jakby w ciężkiej męce?...
Dzieweczko, dzieweczko, takaś jeszcze młoda
Na liczku jak róża kwitnie ci uroda!

— Głęboka mogiła Jasia mi ukryła,
Na piersiach mu leży czarnej ziemi bryła,
Skłonił swoją głowę w deski jesionowe,
Oparł białe czoło o łoże grobowe....

Pojechał na wojnę razem z ułanami,
Jechali kłuć wroga ostremi lancami.
Oj tu na tem polu nie jednego skłuli,
Oj tu na tem polu Jaś zginął od kuli....

I tu mu ułani grób ten wykopali,
Do trumny mu dali, szabelkę ze stali
Na wieki żegnając, pojechali dalej..

— Cyt! nie płacz dzieweczko, mówi chmurka mała,
Nad grób się ja spuszczę z nieba dalekiego,
I rosą srebrzystą będę tu płakała,
Jak siostra rodzona Jasieńka twojego....

— Cyt! nie płacz dzieweczko, mówi wietrzyk sobie,
Ja nucić żałośnie będę mu na grobie,
Jak dziecku w kołysce na słodkie zaspanie,
I żalić się będę po polskim ułanie....

— Cyt! nie płacz dzieweczko, biały miesiąc woła,
Ja światło rozrzucę na grobie dokoła,
I świecić mu będę z niebieskiej oddali,
Jak lampa w kościele, co wiecznie się pali!...

Stach Barwinek.

Rozwalona kaplica.

Opowiadanie Kuby z Kobła.

I.

Będzie temu kilkanaście latek, kiedy się nająłem do furmanki, wozić sól drohobycką aż do Przemyśla. Było nas kilku razem z jednej wsi, a w drodze trzymaliśmy się zawsze kupy, bo nieraz trzeba się było ratować pod górę lub na złych drogach. Właśnie nastała jesień, słota była okrutna, a koła aż się chowały w błocie.

Otóż o kilka mil przed Przemyślem jest wioska mała, co się zwie Gradówka. Już noc zapadała, kiedyśmy się dowlekali do tego sioła, a szło nam powoli jak po mazi, bo koniska się zmęczyły na nic, a błoto było niesłychane. O jakich kilkaset

kroków ode wsi stała maleńka kapliczka. Człowiek zawsze powinien mieć Boga w sercu i na myśli a tem bardziej w podróży, kiedy go to nikt inny jeno niebo najłaskawsze chroni od złego jakiego przypadku lub szkody.

Stanęliśmy więc pod kaplicą i pozdejmowali czapki, aby się pomodlić serdecznie do Pana Boga, co opieką swą najświętszą czuwa nad biednymi ludźmi. Ale kiedyśmy stanęli przy kaplicy, aliści widzimy, że była w bardzo złym stanie, bo się już na pół rozwaliła, cegły się popadały, mur oblazł ze wszystkiem, a dach był zerwany do szczętu. We środku też nie było lepiej, aż człeka serce zabolało na to opuszczenie. Bo to wystawcie sobie kochani ludkowie, we środku stała dawniej kamienna figura św. Antoniego, ale nie wiedzieć z jakiego przypadku spadła na dół, i leżała na ziemi. Głowa tej figury w.ś Antoniego była już połupana, a i reszta kamienia pokruszyła się tak bardzo, że już całego wizerunku trudno było poznać nawet.

Markotno nam się bardzo zrobiło, gdyśmy się tak patrzyli na figurę świętego patrona leżącego twarzą na ziemi, zmoczoną deszczem i śmieciem pokrytą. Chcieliśmy się lepiej jeszcze przypatrzyć temu spustoszeniu, i zapaliliśmy latarkę, a gdy przy świetle oglądaliśmy figurę, zawołał naraz jeden z naszych, Jacek Bunda:

— O na Jezusa! Patrzajcie no, patrzajcie!

— A cóżby tam? — zapytałem.

— A oto widać coś czerwonego, jakby krew, na głowie świętego Antoniego! — odpowiedział Jacek.

Przyklękliśmy na ziemi, przyświecili latarką i akuratnie jak Jacek mówił, zobaczyliśmy na głowie figury św. Antoniego duże plamy czerwone. Nie mogło to być nic innego jeno krew, co przyschła tak na kamieniu jak rdza.

Strach i lęk zebrał nas wielki na taki widok, i przeżegnaliśmy się, i mówiliśmy do siebie po cichu:

— Coś strasznego kiedyś stać się musiało w tej rozwalonej kaplicy! Jak będziemy przejeżdżać przez wieś, musimy się o tem wypytać.

I wróciliśmy do bryk z solą, zacięliśmy konie i pojechali dalej. Zaraz z samego początku wsi stała wielka karczma. Na dworze zciemniało się już na dobre, konie były pomęczone, deszcz lał jak najęty, a błoto aż po kolana — toć i uradziliśmy zanocować w karczmie.

Zajechaliśmy do środka, wyprzęgli konie, nasypali im owsa, a sami poszliśmy do gospody. W gospodzie palił się duży ogień na kominie, a koło ognia siedział żyd karczmarz i drzemał, kiwając brodą i odsapując od czasu do czasu.

Przy długim stole, co stał pod oknami, siedziało kilku gospodarzy i gawędziło przy fajeczce, bo było to w sobotę.

— Niech będzie pochwalony! — rzekliśmy wchodząc do izby.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli gazdowie i pokłonili nam się uczciwie.

Zbudziliśmy żyda, kazaliśmy sobie uwarzyć piwa dla rozgrzania i zasiedliśmy sobie przy gospodarzach. Jak to bywa zawsze między poczciwymi ludźmi, zaraz gadu, gadu, to o tem, to o owem, o złej drodze, o deszczu, o zimie, co już za plecyma stała, aż nareszcie zgadało się i o owej rozwalonej kaplicy, cośmy ją pode wsią oglądali.

Ja też pierwszy, bom już taki z natury ciekawy, począłem się wypytywać, czemu ta kaplica w takiem opuszczeniu i czemu św. Antoni na zgorszenie ludzi kala się w śmieciu?

— Smutno nam było na taką obrazę boską patrzyć — mówiłem do kmieci — ale jeszcze okrutniejszy strach nas wziął za serce, kiedy zobaczyliśmy na głowie kamiennego świętego plamy jakby z krwi zastygłej....

Gospodarze na te moje słowa spojrzeli z jakimś lękiem po sobie, a jeden z nich siwy jak gołąb, przeżegnał się znakiem krzyża świętego i smutnie pokiwał bielutką głową.

Ja zaś mówię dalej:

— Widzę ja po waszych twarzach, że tam w tej kaplicy coś strasznego się przydarzyło. Ot panie gospodarzu, opowiedzielibyście nam po łaskawości, co też tam za przytrafunek zaszedł, boć to warto, aby i drudzy ludzie o tem wiedzieli dla postrachu i nauki.

Stary pokiwał głową, zadumał się czegoś a potem machnął ręką i odpowiedział:

— Ot dajmy pokój! Straszna to historya i długa, a człeka aż lęk bierze opowiadać o niej! Niech nas Bóg broni od takich wypadków!

A ja na to:

— Ej opowiedzcie dziadunio, opowiedzcie! Noc jeszcze nie późna a jutro święta niedziela, toć i pogwarzyć można spokojnie. A widzi mi się już naprzód, że historya ta będzie ciekawa i na naukę ludzką. A choć straszna, to nie rzecz temu, bo człowiekowi grzesznemu nieraz trzeba postrachu, aby o Bogu nie zapomniał i złego się wystrzegał.

Zawołałem więc na arendarza i kazałem dać kilka szklanek piwa dla gospodarzy, a staremu nałożyłem fajeczkę z mego kapczuszka.

Stary dał się namówić, pociągnął piwa, zakurzył lulkę, podumał trochę, jakby sobie chciał napomnieć dokumentnie całą historyę, i tak się odezwał:

— Ha! kiedyć już na upartego, to wam i opowiem, choć Bogiem a prawdą, już to przy tej okazyi i o naszej własnej gromadzie trzeba będzie nie dobrze napomnąć. Powiadają ludzie, że ostatni ten ptak, co swoje własne gniazdo kala, ale w tym przypadkn, ja sobie myślę, że właśnie najlepszy to znak ludzkiej poprawy, jeżeli człek przyzna się do własnego błędu, choć go się z całego serca sroma.

My pochwalili to rozumne gadanie staruszka i z wielką ciekawością przysunęliśmy się do niego, a on też począł taką opowiadać historyę:

II.

— Rok już cały minął, kiedy ten straszny wypadek, o którym wam opowiem, zaszedł w owej rozwalonej kaplicy. Zaś dla wyrozumienia muszę trochę sięgnąć dalej i opowiedzieć wam wszystko od początku.

Będzie temu jakich lat 12, kiedy w tej wsi żył kmieć bardzo zamożny, Antoni Borek. Na dziesięć mil do koła nie było takiego bogatego kmiecia, jak Antoni. Chatę miał piękną pod

gontem, niby dwór jaki, koło chaty były duże i piękne stajnie i stodoły z bydłem ślicznem i chlebem Bożym w obfitości.

Najczęściej tak bywa na świecie, że bogacze mają serce zatwardziałe, że zapominają o Bogu i o swych bliźnich, a całą duszą lgną do światowych marności. Ale miałby ten, jak mówią z przeproszeniem, psią gębę a nie uczciwy język ludzki, ktoby to powiedział o Antonim Borku.

Był to człowiek zacny i pobożny, ludzki i miłosierny, a rozumny przytem i obrotny, że jak gromada gromadą, nie było a może za naszego życia i nie będzie takiego człowieka. Antoni bywało każdego wspomoże, każdemu poradzi, każdego poratuje i nigdy się nie trafiało, aby kiedy żebrak odszedł od jego wrót bez kawałka chleba lub jakiego przyodziewku. Nie ma prawie nikogo w gromadzie, coby był od niego nie pożyczył grosza lub ziarna — a mówiąc po prawdzie najczęściej na nieoddane.

To też wszyscy się garnęli do Antoniego, jak muchy do miodu, wszyscy mu podchlebiali i na rękach go prawie nosili. A nie było to widzi Bóg po szczerości, jeno dla zysku własnego. Chociaż to naszej gromadzie na wstyd wielki wychodzi, to muszę powiedzieć szczerze, że wieś nie kochała samego Antoniego, jeno jego majątek.

Tu starowina przestał, westchnął i zmarszczył czoło.

— A czemuż go nie kochali? — poderwałem ciekawie — kiedy on majątek na dobro gromady i ubogich obracał?...

— Taka to ludzka natura niewdzięczna! — odpowiedział stary — póki Antoni był bogatym, to był dobrym, kochanym, to mu się wszystko lizało, to go wójtem obrali, a jak zeszedł na biedę, to nim pogardzili w opuszczeniu.

— A czemuż on zeszedł na biedę? — zapytałem.

— Ha! dziwnie Pan Bóg ludzi nawiedza! — odpowiedział stary — i nieraz nieszczęście na nich zsyła, czy to z gniewu czy łaski swej przynajświętszej! Tak się też stało i z Antonim. Pewnej nocy w jesieni zapaliła się jego chata. Wiatr był wielki, ogień się przerzucił jednej chwili na wszystkie budynki, i nie minęło godziny a z całego obejścia Antoniowego, z całego jego majątku, z chleba i bogatego dobytku została się tylko

kupa węgli i popiołu. Tak to Antoni w jednej małej chwili został z bogacza biedakiem!

— No toć go przecież gromada musiała poratować, bo przecież on ją przedtem ratował! — odezwałem się na to.

— Oj nie! nie! kochany człowieku — mówił dalej stary smutno — nikt sobie ani nie wspomniał na Antoniego. Nie poratował go nikt ani jednym szelągiem, ani ziarneczkiem, ani dobrem słowem nawet. A ci, co mu byli winni pieniądze lub inne zapomogi, to ani myśleli o tem, aby mu oddać. Oj strasznie za to nasi gazdowie odpowiedzą kiedyś przed Panem Bogiem! Ale cóż kiedy nawet szwagier jego, co go miał Antoni we wsi, nie poratował go w niczem! Antoni prosił szwagra a potem całą gromadę, aby go choć o tyle wspomogli, żeby sobie chałupinę postawił i znowu czego się dorobił, ale słowa jego były jak groch o ścianę. Nie tylko, że go poratować nie chcieli ale nawet strącili gó z wójta, mówiąc, że biedołacha na wójta nie potrzebują! Oj taka to niewdzięczność ludzka! aż strach pomyśleć.

Nam się wszystkim na to opowiadanie strasznie markotno zrobiło i chwilkę jedną siedzieliśmy jak mruki, a potem ja zapytałem znowu:

— I cóż zrobił ten biedny Antoni?

— Strasznie go to zabolało — mówił dalej stary — i mówił, że go tak i ogień i zniszczenie nie zmartwiły, jak ta niewdzięczność ludzi. Popłakał biedak gorzko, poskarżył się Panu Bogu a potem powiedział, że idzie w świat daleki, a jak mu Bóg pobłogosławi, i dorobi się znowu czego i powróci z majątkiem do domu, to już będzie wiedział, jak z ludźmi sobie poczynać. Wynajął jednemu gospodarzowi grunt cały za tanie pieniądze na lat 10, wziął kij do ręki i wybrał się w daleką drogę. A odchodząc pożegnał się z gromadą po dobremu i powiedział, że wszystkim przebacza i że kiedyś się przekonają, jak się źle z nim obeszli. I jak poszedł, tak przepadł jak kamień w wodzie. Kilka lat minęło, o Antonim z nikąd ani słychu, ludzie też zapomnieli o nim całkiem, jakby nigdy nie żył na świecie.

Co zaś dalej opowiadał stary, będzie aż w przyszłym numerku.

Pogadanka gospodarska.

Właśnie teraz czas ten nadszedł, kiedy krowy się cielą. Wielka z tego nieraz radość dla gospodyń, gdy się urodzi bydlątko piękne, bo któżby się nie cieszył z przybytku chudoby, co człeka żywi i na niego pracuje? Ale nie zawsze wiedzą nasze wiejskie gosposie, jak sobie poradzić z młodemi cielętami i nie jedno się zmarnuje z tej racyi, że ludziska nie wiedzą, jak sobie dobrze poradzić. Dla tego wam tu też wypisujemy niektóre rady jednego starego gospodarza, który się bardzo pięknego dobytku dochował. Otóż posłuchajcie:

Chcąc mieć dobre i jak największy użytek dające bydło, trzeba zaczynać od cieląt. Trzeba tedy przedewszystkiem mieć staranie, aby takie tylko odsadzać cielęta, o kórych pewni jesteśmy, że się człeku nadadzą. Przy wyborze cieląt do chowu, należy przeto zachować następujące reguły: Trzeba wybierać cielęta tylko po krowach które dużo mleka dają. Na chów zostawiać tylko takie cielęta, które równie jak i ich matka, zupełnie są zdrowe. Zdrowe cielę poznaje się po żwawości, po skokach, po chciwości z jaką je i pije, potem że dobrze wygląda, i że mu z każdym prawie dniem wagi przybywa. Także bacznie zważać należy na piękny kształt cielęcia. Powinno ono mieć: małą głowę, długą i cienką szyję, nie zbyt wysokie nogi, cienką skórę i sierść ładną.

Jak skoro cielę w żywocie matki rośnie, możemy cielę już w tym stanie pielęgnować. Dla tego dawać trzeba lepszej paszy matce; pasza ta pójdzie na pożytek i nienarodzonemu jeszcze cielęciu. Strzedz się jednak należy, aby się krowa nie zapasła. Dobrze jest dawać krowie na 40 dni przed ocieleniem polewkę przyrządzoną ze sparzonej suchej paszy, z mąki i otrąb, z ugotowanych korzeni i głąbi, i to dawanie przedłużać można, dopóki cielę ssie. — I pora też roku, w której się cielęta do odsadzenia wybiera, nie jest dla ich zdrowia jednaką. I tak musicie wiedzieć, że się te tylko cielęta korzystnie przychowywują, które się rodzą w czasie, kiedy dnia przybywa, a więc od stycznia do maja. Najsilniej rosną one w miesiącu marcu. Cielęta rodzące się między czerwcem a grudniem naj-

lepiej jest oddać na rzeź, wyjąwszy chyba, że z nich wyrobią się bydlęta bardzo piękne.

Cielęcia wiązać nie potrzeba, jak to ludzie robią, bo przez wiązanie cielęcia zdarzają się wypadki, że uwiązane cielę zadusi się, rwąc się gwałtem do cycka. Każdy gospodarz zauważał to zapewne, jak to trudno cielę od matki oderwać i jaką to boleść sprawia zarówno cielęciu jak i matce, gdy je od siebie rozdzielimy. Zresztą prawda to stara, iż pozostawienie cielęcia przy matce, na dobre cielęciu wychodzi. Ssie ono wtedy spokojniej, wedle potrzeby, a obessania się obawiać się nie trzeba.

Jeżeli zaś już koniecznie tak być musi, aby cielęcia nie dopuszczać do krowy, to trzeba cielę odłączyć zaraz po urodzeniu. Gdy jednak wtedy wyżywienie jego już na człowieka zupełnie spada, trzeba więc przytem największą staranność i czystość zachować. Zaraz po urodzeniu, nim jeszcze matka cielę obliże, przenosi je się na miejsce dobrze podesłane, wybiera mu się szluz z pyska i nozdrzy, i wyciera je się słomą lub sianem. Tak odsadzonemu cielęciu daje się mleko od jego własnej matki; pić nauczy ono się z łatwością. Zrazu przyciska mu się głowę ku mleku jedną ręką, drugą zaś rękę trzyma się w mleku, wystawiając zeń tylko wskazujący palec mlekiem zmaczany. Cielę zaczyna ssać palec, który się wtedy zwolna cofa aż do mleka. Pyszczek cielęcia posuwa się za palcem aż natrafi na mleko, poczem już takowe i bez palca chlipie. Naczynie z którego się cielęciu pić daje, winno być nadzwyczaj czysto utrzymywane. Im cielę starsze, tem więcej potrzebuje mleka.

Jak się powiedziało, dwa tylko są sposoby, albo cielę zupełnie przy matce zostawić, albo je zupełnie od niej odłączyć. Odłączone cielęta należy trzymać każde z osobna, aby się nie uczyły ssać jedno drugie, chwytając się jakiejkolwiek części ciała.

Czas ssania lub karmienia cielęcia mlekiem trzeba do sześciu tygodni przeciągnąć. Cielę w skutek dłuższego karmienia mlekiem matczynem staje się silniejszem i nie podpada tak prędko chorobie.

Odzwyczajanie cielęcia od mleka musi się dziać zwolna. Pierwszego zaraz albo drugiego dnia po urodzeniu, posypuje się cielęciu pyszczek kilku ziarnkami kuchennej soli, którą ono ze smakiem oblizuje. Trzeba to powtarzać często, aby sól stała się potrzebą cielęciu. Poźniej stawia mu się w nizkim żłobku cokolwiek wyborowego, słodkiego siana, posypanego miałką solą, a obok tego stawia się mały kubełek bardzo lekko osolonej wody. Cielę bawiąc się, zaczyna siano jeść i wodę pić. W kilka dni poźniej daje mu się odwaru z siana, zmieszanego z przegotowaną mąką owsianą, posoliwszy to wszystko nieco. Cielę zacznie taki pokarm także polizywać z razu, a potem i jeść. Zamiast solonej stawia się następnie cielęciu czysta zimna woda, którą ono już także pić będzie. W ten sposób to już przy cycku uczy się cielę jeść i pić, i dlatego nie masz potem z niem żadnego kłopotu.

Ujmowanie mleka powinno się dziać powoli. Obok tego trzeba dawać cielęciu chleb, makuchy, ziarno, dobre siano. Ziarno i makuchy muszą być starte a następnie naparzone i posolone. Obok suchych pokarmów trzeba dawać i płynne, a mianowicie pojłu z otrębami, z lnianem siemieniem, z makuchami, zupę z mąki grochowej i owsianej, odwar z siana, wreszcie maślankę i kwaśne mleko. Dopiero poźniej daje się rośliny bulwiaste, groch, soczewicę i coraz więcej siana.

Kto bydlęciu w jego młodości skąpi paszy, ten się z niego pięknego i silnego zwierzęcia nie dochowa, ten nie zdoła bydlęcia swego już w drugim roku do całkowitej wielkości doprowadzić. Niech taki gospodarz obliczy sobie, co lepiej wypadnie: czy dwa lata obficie i dobrze karmić i mieć doskonałe bydlę, czy też cztery lata licho karmić i mieć bydlę niedoskonałe.

Jak się już powiedziało, czystość jest główną rzeczą przy hodowli cieląt. Nie trzeba im też dawać dużo paszy naraz do żłobu, ale mało a często. Żłób i naczynia trzeba utrzymywać czysto. Również trzeba pamiętać o czystości legowiska. Dobrze też jest codziennie kazać cielęta zgrzebłować i szczotkować, przez to zapobieże się chorobom skórnym i wszom. Bieganie na wolnem powietrzu, kiedy jest pogoda, wielce jest dla cieląt, jak i dla wszystkich zwierząt korzystne.

Kto ma dobre pastwisko, niech na nie wygania zimowe cielęta w maju a najdalej w czerwcu. Pastwisko musi jednak być dobre, pokryte słodkiemi, soczystemi trawami i nie powinno wysychać podczas lata. Kto nie posiada dostatecznych pastwisk, niech trzyma cielęta przez cały pierwszy rok na stajennej paszy, wedle tego, jak się już wyżej powiedziało. Obok tego jednak zawsze należy je codziennie, kiedy pogoda sprzyja, choć trochę na trawę puszczać.

Na drugą zimę, kiedy cielęta mają dziewięć do dwanaście miesięcy, pasza ich winna być mniej silną. Daje się im więc tylko obficie, dobrego siana, marchwi, buraków, oraz nieco makuchów i soli. Obok tego daje się im pić letnią wodę z przymieszkami, o których wyżej mówiłem. Stajnia powinna być wysoka i ciepła. Podściółkę utrzymywać trzeba sucho i starać się o czystość bydląt. Na drugie lato cielęta muszą iść koniecznie na pastwisko, gdyż ich ciało musi nabierać siły, a do tego dojść może tylko na wolnem powietrzu. Jeżeli pastwisko nie jest wystarczające, trzeba brak paszy dopełnić w stajni koniczyną, trawą, zieloną kukurudzą lub mieszanką.

Przypowieści gospodarskie starego Jacka.

Znałem ja jednego starego gospodarza, co mu było Jacek na imię. Oj, gdyby tylko więcej takich Jacków na świecie, pewnikiem łepiej by było! Bo też to był gospodarz całą gębą, pracowity, baczny, obrotny, oszczędny — że jeno czapkę przed nim zdejmuj na poszanowanie. A znał ci ten Jacek mnóstwo wierszyków na pamięć, a bywało, jak go się kto radzi o co, albo się na biedę żali, to zaraz na to palnął mu wierszyk jakby z kantyczki. Oto opiszę wam, jak ten stary Jacek rozmawiał się raz z Frankiem leniuchem, co z niedbalstwa całe gospodarstwo zmarnował.

Franek: Dzień dobry wam Jacku! Otom dziś zaspał okrótnie!

Jacek: Nie ma się czem chwalić, bo to wstyd dla gospodarza.

Gospodarz długo spiący zrobi bardzo mało,
Spał dosyć. gdy siedm godzin spanie mu zabrało.

Franek: Ot dajcie ta pokój! Nie miałem co robić, to się człek chciał wygrzać dobrze pod pierzyną.

Jacek: A mnie znowu nigdy jeszcze nie brakło roboty.

Nie kończym wszystkiego, pracując dzień cały,
Ma co robić gospodarz, byle chciał być dbały!

Franek: No wiem ja wiem, ale ta robota, co mi dziś wypadała, jeszcze i jutro nie ucieknie.

Jacek: Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożnie,
Nie odkładaj do jutra, co dziś zrobić można.

Franek: Ja też ani robię, ani odkładam, bo mam na to parobków, aby za mnie robili.

Jacek: Nie polegaj we wszystkiem na innych usłudze,
Sam wszystkiego dozieraj, ślepe oczy cudze.

Franek: Ej gadanie, aby gadać, człek się spuszcza na sługi, bo sam wszystkiego robić nie może, a nikt się tam nie spodziewał, że sługa chudoby nie poszanuje!

Jacek: Ej zła to wymówka, Franku, taka na to rada:

Przewiduj i przypilnuj, byś straty nie miewał,
Głupi mówi po szkodzie, jam się nie spodziewał!

Franek (z gniewem): At dajcie mi pokój święty z waszemi radami, ja sobie gospodarz taki, jak wy, i sam sobie poradzić potrafię.

Jacek: Ej nie gniewajcie się za radę Franku, bo mówię wam, że Komu praca nie miła, ani dobra rada,
Ten majątku postrada i zejdzie na dziada!

RÓŻNOŚCI.

Xiądz Wojciech z Medyki, wasz i Dzwonka serdeczny przyjaciel, co wam już tyle pięknych i pouczających gadek naopowiadał, napisał dla was kochani ludkowie książeczkę, co się zwać będzie *Czytanie świąteczne.* Będą w tej książeczce ewanielie święte, a do każdej ewanielii dodanych będzie kilka historyj albo z życia świętych albo z dawnych czasów polskich, a wszystko będzie pięknie spisane ku waszej nauce i zabawie, jak to xiądz Wojciech umie! Książeczkę tę da xiądz Wojciech niezadługo do druku, a jak ją panowie drukarze wyszykują, to wtedy pójdzie w świat, między ludek polski! My też wam tu o tem naprzód donosimy, a jak skoro to *Czytanie niedzielne* już będzie jak się patrzy

wydrukowane, to wam znowu o tem napiszemy, abyście sobie mogli kupić tę książeczkę.

Inną zaś książeczkę napisał dla was jeden pan, coby chciał z całego serca, aby się wam na ojcowskiej roli dobrze powodziło. Ten pan nazywa się Wincenty Darowski, a książeczka ta, co ją napisał, ma takie imię: *Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiej.* W tym katechizmie jest wszystko dokumentnie rozpowiedziane, co tylko do dobrego gospodarstwa należy: o budowlach, o sadach, o gatunkach ziemi, o siewie, o nawozie, o łąkach i t. d. A wszystko to tak na rozum wypisane, że aż miło. Dla tego też, radziłbym wam, jak wam kiedy wypadnie czego zaglądnąć do miasta, to spytajcie się tam w księgarni za tą książeczką i kupcie ją dla waszych dziatek, aby się mogli z niej już naprzód czegoś pouczyć o gospodarstwie. Bo choć tam wy sami zaprawiacie dziatki do roli, to przecie nie zawadzi ale jeno pomoże, zaglądnąć osobno do książki, boć to i niejeden stary gospodarz mógłby się z niej wiele nauczyć.

Wielomowność zwykła się rodzić z trzech rzeczy: z próżnej chwały, z natkania brzucha i z przewrotnego zwyczaju. I tak jest zaiste: próżnochwałkowie wiele gadają tych rzeczy, które do ich próżnej chwały należą, aby się udali za takich, którzy wiele wiedzą, aby wszystek świat o nich wiedział, jakimi są albo byli. Bywa to często, im kto uboższy w chwałę prawdziwą, tem bardziej fałszywą łowi, próżna albowiem chwała jest jedna z córek hardości. A którzy półmiskami brzuch napełnią, prędko się porywają do słów uszczypliwych i nieuczciwych żartów; do zwad, do próżnej mowy tacy skłonni.

Trzeźwy trzeźwie mówi, wstrzyma się od żartów wszetecznych i od wszelakich słówek plugawych; pijaństwo wiele gada, trzeźwość pomilczenie miłuje. Pamiętajcie na owe zdanie: kędy słów wiele, tam najczęściej ubóstwo ducha; bo jako latorośle winne, które bogate są w liście, nie wiele wina rodzą, tak, którzy wiele o cnotach szczebiocą i nagadają, rzadko kiedy przyzwoite cnocie dzieła robią. Częstokroć bywa, że słowo jedno, lada jak wymówione, rozrywa przyjaźni bardzo dobrze i z dawna zawiązane. Nie wiecież tego, iż dla jednego słóweczka ciężkie wojny, rokosze w królestwach powstały? O języku! języku! w piśmie świętem strzale ostrej i brzytwie słusznie bywasz przyrównan; więcej albowiem i przeraźliwiej niż żelazna strzała zabijasz. Wymówi się słóweczko, które aby cofnąć nazad, dałby człowiek niewiem co. Jako ptaka, który się z rąk wydrze, zatrzymać, porwać nazad trudno; jako okrętu, który uciekł na morze, nie możesz zawściągnąć; tak i słowo raz wypuszczone, leci niepohamowane. Słowo odleci, ale trwa ból zadany, i gwałtownie umysł pobudza na gniewy i na pomstę wielką. To wam dla nauki wypisujemy z jednej starej książki.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.